

# Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

6

Przerobił J. R.

Ciąg dalszy.

Nie otrzymał od razu odpowiedzi. Spojrzał więc lekarzowi w twarz. Przebiegała z niej taka boleść ogromna, że detektyw poznał od razu, iż tego człowieka łączyło z hrabiną coś bardzo wielkiego i bardzo świętego. Domyślił się prawdy.

— Niech się pan opamięta, panie doktorze, nie ma potrzeby od razu przypuszczać rzeczy najgorszych. Przecież przy przewożeniu łódką mógł hrabinie wypaść grzebień do wody. Na wszelki jednak wypadek uwiadomię o tem policję, która zarządzi przeszukanie rzeki na tej przestrzeni.

Doktor Stürmer nie odpowiedział; bezwiednie dał się wyprowadzić z nad rzeki, a głos jego brzmiał bezdźwięcznie prawie, kiedy pytał:

— Co pan teraz czynić zamierza?

— Po przeszukaniu rzeki, co, jak sądzę, nie pozostanie bez rezultatu, ogłoszę plakatami, że dam dwa tysiące marek temu, kto mi udzieli jakichkolwiek wskazówek, dotyczących się zniknięcia hrabiny Pardua.

Stosownie do zarządzeń Steina przeszukano rzekę bardzo skrupulatnie, ale zwłok młodej hrabiny nie znaleziono. Zagraj stracił wszelki ślad; widocznie zbrodniarz wszedł do doróżki i zatarał ślad po sobie.

Nie mówiąc do siebie ani słowa, powrócili obaj panowie do pałacu Solmsów. Hrabia wybiegł na schody na ich spotkanie. Ujrawszy detektywa i lekarza, wracających bez Erny, zachwiał się i omal nie upadł. Doktor Stürmer, który był przekonany, że hrabia Erny nigdy nie kochał, zmienił od razu swoje zdanie.

Ale nie zdołał wykrztusić ani jednego słowa, aby go pocieszyć, bo gardło zatykała mu żalność i wstręt do człowieka, który mu skradł jedyne szczęście. Boleść rosła w jego sercu; mówił sobie, że hrabia mógł być zostać w domu, przy żonie, a nie siedzieć w klubie, to nieszczęście z pewnością byłoby nie zaszło. I nagle powstało w jego duszy straszne podejrzenie. Okropna myśl rozpałała się w jego mózgu. Mówił sobie, że chyba obłądł się czepia, a jednak myśli tej nie mógł się pozbyć.

Tymczasem Stein porozumiał się z hrabią co do wyznaczenia nagrody. Hrabia zgodził się natychmiast.

Komisarz Stein wynajął sobie pokój w pobliżu pałacu hrabiego. Wracając więc ze szpitala od bezimiennego udał się teraz do swego nowego mieszkania.

Na słupach i rogach ulic rozlepiano właśnie wielkie czerwone afisze, około których gromadziły się setki ludzi, czytając o wyznaczeniu 2.000 marek nagrody dla tego, kto by choć w części mógł rozświecić tajemnicę zniknięcia hrabiny i podać wskazówki komisarzowi Steinowi przy ulicy Lwiej nr. 25.

Coraz więcej ludzi gromadziło się około tych afiszy, głośno rozmawiając i gestykulując.

— Policja może sobie oszczędzić trudu — usłyszał Stein, który się wmiszał w tłum — teraz cały świat, to istna Sodoma i Gomora; niema dnia, żeby dzienniki nie doniosły o jakimś morderstwie, a mordercy chodzą sobie spokojnie, bo schwycić ich niepodobna — narzekała jakaś stara babula z wielką książką do nabożeństwa pod pachą.

— Tak, tak, moja pani — odparła druga — musieli biedaczkę zamordować. Bóg wie, gdzie ona teraz leży.

Takie i tym podobne rozmowy rozbrzmiewały naokoło. Policjanci mieli dość roboty z utrzymaniem porządku na ulicach, bo ludzi gromadziło się koło plakatów coraz więcej.

Stein poszedł do swojej nowej kwatery, ale za ledwie zdjął płaszcz, kiedy do pokoju wszedł jakiś obdartus i rzekł:

— Chcę zarobić dwa tysiące marek. Wiem, gdzie się teraz znajduje hrabina Pardua.

## ROZDZIAŁ XI.

### W starym młynie.

Wróćmy się znowu do mieszkania pięknej Ilony Barrison.

— Czego sobie panowie życzą? — zapytała tancerka, patrząc z dobrze udanym zdziwieniem na wchodzących do pokoju policjantów.

— Szukamy zbiegłego z więzienia rzezimieszka,

nazwiskiem Huhle, który jeszcze przed minutą znajdował się w tym pokoju.

— Więzień w moim buduarze? — wybuchła przerażona — więc miałby się tutaj ukryć?

— Wiesz pani o tem chyba lepiej odemnie — odparł sucho wachmistrz — proszę mi pokazać mieszkanie pani!

Ilona zbladła.

— Sądzi pan rzeczywiście, że ja u siebie ukrywam zbrodniarza? — spytała drżącym ze strachu głosem — proszę, w takim razie proszę przeszkukać moje mieszkanie, wszystkie pokoje stoją otworem. Mogę panu tylko oświadczyć, że bez mej wiedzy nikt się w mem mieszkaniu znajdować nie może.

— To się zaraz pokaże — odparł surowo wachmistrz, głęboko przekonany, że przed chwileczką widział jakiegoś człowieka, wpadającego do przyległego pokoju. Udał się więc do niego w towarzystwie urzędnika, a policyjanta zostawił przy drzwiach na straży. Ilona poszła za nimi; ręka jej, w której trzymała śliczną porcelanową lampę, drżała ze strachu i wzruszenia.

Wachmistrz wraz z urzędnikiem przeszukali bardzo skrupulatnie każdy kąt, ale nie znaleźli ani śladu po zbiegu. Doszli nareszcie do ostatniego pokoju.

Czy to było odbicie bladego światła lampy, czy też ze wzruszenia, dosyć, że twarz Ilony zbladła jak płótno. Zdawało się, że ani kropli krwi w niej nie zostało.

— Proszę panów — rzekła — radziłabym panom raczej nie wchodzić do tego pokoju.

— Obawia się pani może, że tutaj znajdziemy zbrodniarza? — spytał ostro wachmistrz.

— Gdybym wiedziała, że on się tutaj znajduje, byłabym panów od razu tu zaprowadziła. Pańskie podejrzenia, panie komisarzu, są dla mnie obrazą, o której nie zapomnę.

Nie otrzymała odpowiedzi. Wachmistrz podszedł do drzwi i otworzył je. W pokoju było zupełnie ciemno. Cóż tam jednak zobaczył, że natychmiast cofnął się przestraszony?

— Zechce mi pani może podać lampę? — poprosił i odważnie wszedł do wnętrza.

— Nie zbliżaj się pan zanadto — ostrzegała Ilona, ale w tej chwili dało się z głębi słyszeć gniewne warczenie, a zaraz potem podniósł się z pod zaciemnionego okna olbrzymi pies nowofundlandzki.

Ilona chwyciła szybko za bat, wiszący przy drzwiach i strzeliła parę razy w powietrze.

— Cicho, Lord — zawołała na psa, ciągnąc go do kąta, poczem, zwróciwszy się do przestraszonych urzędników dodała:

— Tak, moi panowie, teraz możecie panowie przeszukać i ten pokój. Na razie przez chwilę psa sama potrzynam. Nie bójcie się panowie, Lord jest mi nadzwyczaj posłuszny.

Rozglądnęli się tylko pobieżnie po pokoju i zaraz wyszli. Ilona zamknęła drzwi, a na ustach jej pojawił się szydery uśmiech.

— Teraz pan chyba zadowolony, panie wachmistrzu? — spytała. — Przeszukałeś pan przecie całe moje mieszkanie.

— Moi ludzie — odparł wachmistrz, wcale nie zbity z tropu — widzieli, jak zbieg wpadł do tego domu, widzieli nawet, że wszedł do mieszkania pani.

Tancerka, zamiast odpowiedzi, zawołała swej pokojówki, a kiedy dziewczyna weszła, rzekła do niej:

— Panowie ci twierdzą, że jakiś zbiegły więzień dzwonił do naszego mieszkania i że tu nawet wszedł.

— Nic o tem nie wiem — odparła, mierzając komisarza szyderym spojrzeniem.

Spostrzegli, że dłużej nie mają co robić i wyszli. Na schodach jednak jeszcze wachmistrz, szarpiąc niecierpliwie swą siwiejącą już brodę, ozwał się:

— Dałbym jednakże głowę za to, że ta tancerka ukrywa u siebie zbrodniarza.

Tymczasem Ilona poszła do ostatniego pokoju. — No, Lordzie, teraz możecie znowu być sobą! — zawołała.

Pies podniósł się, przyczołgał się do drzwi i naraż olbrzymi łeb psi spadł, a zamiast niego ukazała się czerwona od picia twarz byłego baletmistrza, który zaraz potem, zobaczywszy, że mu już nie grozi niebezpieczeństwo, zrzucił z siebie skórę psa i prostując się, zawołał:

— Ilonko, miałbym ochotę rzucić ci się na szyję z wdzięczności.

— Tego nie rób — odparła — ale zrób mi

jedną łaskę: uchodź stąd zaraz, bo nie ręczę, czy drugi raz zdołałabym tak długo trzymać moje nerwy na wodzy.

— Idę zaraz, Ilonko, natychmiast — ale musisz mi dać trochę grosza, bo jestem strasznie goły.

— Ile chcesz?

— Trzysta marek.

— Oszalałeś, czy co? — wybuchła Ilona. — I to nazywasz: trochę grosza?

— Eh, cóż to jest dla ciebie. Przecież co wieczór otrzymujesz kilka bukietów, a prawie w każdym z nich znajduje się czek na tysiąc lub więcej marek. Dajże mi więc tę odrobinę, a zaraz się ulotnię.

Twarz Ilony pokryła się chmurą gniewu, ale mimo to poszła do biurka i rzuciła swemu byłemu nauczycielowi szlachetnej sztuki tańca trzy stu markowe papiery pod nogi.

— A teraz wynoś się i nie pokazuj mi się na oczy.

— Idę już, idę — mówił rzezimieszek, podnosząc drżącymi rękoma niebieskie kwitki.

Po jego wyjściu Ilona otworzyła okno i stanęła przy nim, aby się trochę orzeźwić z przebytých wrażeń.

— Ten łajdak Huhle — mówiła do siebie wściekła — będzie mnie teraz ssał, jak wampir. Już się od niego nie odczepię. Łajdak!

Tymczasem Huhle szedł pryncypalną ulicą w cieniach domów, oglądając się trwożliwie co chwila, czy przypadkiem policja go jeszcze nie ściga. Dopiero kiedy się znalazł na przedmieściu, w wąskich i brudnych uliczkach, zwolnił kroku.

Ulice były zupełnie puste. Naraz zobaczył w jednym z zaułków jakieś indywiduum, wlokące się powoli, jakby obciążone jakim ciężarem. Stanęło właśnie na chwilę, widocznie, aby trochę odpocząć, ale zerwało się znowu, gdy ku niemu zbliżył się Huhle.

— Jasku! Czyżes to ty? — zawołał. — No, no, gdzież cię to dyabli niosą? Cóż to niesiesz w tym woreczku?

Człowiekiem, którego Huhle spotkał na tej zacisznej ulicy był nie kto inny, jeno brat pięknej tancerki Ilony. Usłyszawszy tuż przed sobą basowy głos Huhlego, przestraszył się zrazu, ale go zaraz poznał, wiedział bowiem już dawno, że był baletmistrz, a jego nauczyciel, zeszedł na psy.

— Cóż to dźwigasz we woreczku? — spytał Huhle powtórnie i chciał się sam o tem przekonać, ale kłown odepchnął go gwałtownie.

— Żebyś mi jej nie dotknął! — zawołał — to moja kochanka, która nagle zachorowała. Niosę ją właśnie do swego domu; możebyś mi pomógł odrobinkę!

— Z przyjemnością — odparł Huhle, nie bardzo wierząc jego słowom.

— No, w takim razie bierz ją — rzekł Jan — a ja się znam na grzeczności i znajdę dla ciebie parę marek.

W milczeniu szli obydwoj po pustych jeszcze zupełnie ulicach, nareszcie stanęli przed ponurym, poszarpanym domem, już powoli się zapadającym. Po małych, drewnianych schodkach, które lada chwila groziły zawaleniem, weszli do wnętrza. Naprzeciw nich stała stara, do czarownicy podobna baba, trzymając w jednej ręce lampę, w drugiej kij, którym się podpierała.

— To ja, matko Wilding, ja, Jasiek Barrison. a to mój przyjaciel. Chciałbym wam dać zarobić ładną sumkę grosza.

— No, chodźcie bliżej — mruknęła stara opryskliwie — a co to niesiecie ze sobą?

Brat tancerki nie odpowiedział, jeno złożył ciężar na starej, podartej kanapie, stojącej przy ścianie i odwinął płachtę, w którą otulił swoją ofiarę. Huhle krzyknął zdziwiony — „A“! — staruszka zaś aż podniosła lampę do góry. Blade jej światło padło bowiem na przepiękną, czaru i uroku pełną twarzyczkę kobietę. Bolesny wyraz jej kurczowo zacisniętych warg wzruszył Huhlego do głębi, że jednak opryszek ten był jeno zmysłowym bydlęciem, więc wzruszenie ustąpiło, a Huhle zaczął jeno mlaśkać ustami, jak znawca wina, który nową napoczął butelkę. Staruszka mruczała coś pod nosem, wreszcie spytała:

— Cóż mam zrobić z tą kobietą!?

— To moja kochanka; wy, matko Wilding, pilnujcie jej, jak oka w głowie, dobrze was za to wynagrodzę. Przyjdę tu jutro rano, to pomówimy o reszcie.

— Boisz się pan, żeby panu kochanka nie uciekła? Widocznie pana nie znosi — mówiła stara.

— To was nic nie obchodzi! — mruknął Jan. —